

Dmitrij Trollew

## **Piaskowy człowiek**

Pamięci mojego ojca

Wiatr nie ustawał ani na sekundę. Niósł potoki piasku, pożerające wszystko na swojej drodze. Drobnutkie cząstki, które omal nie przesączały się przez międzycząsteczkowe szczeliny, przekształcając otoczenie w drobne okruchy. Wystarczyło tylko porzucić umęczony burzą samochód terenowy i szara mgła pochłonęła go, przetrawiła. Tu, mimo woli uwierzysz nawet w subatomowe ziarnka piasku.

Tylko skafandry pomagały uporać się z pustynną paranoją. Specjalna odzież nie pozwalała zachłannym cząsteczkom dobrać się do naszych ciał. Chociaż iluzoryczna, ale jednak nadzieja. Kiedy zagłębialiśmy się w pustynię na osiem, niezaplanowanych kilometrów, to też pokładaliśmy nadzieję w technice: że piaskowy łązik nie zawiedzie i nie pochłona go odmęty, do walki z którymi był przecież stworzony. Teraz, trzeba pieszo przedzierać się do ochronnej kopuły.

Do kopuły, która nie wytrzyma nadciągającej Dżumy. O tym wiedział profesor Minzjau. Nie opuszczając Ziemi, przepowiedział fenomen magnetyczny, wywołany chwiejnym jądrem planety. Z powodu błędzenia tak zwanego „małego bieguna magnetycznego”, na powierzchni planety tworzył się obłok-huragan pędzący z ogromną prędkością ziarnka piasku. Każdą przeszkodę huragan miał na mąkę. Kolonię pod kopułą, z zakładami i kilkoma tysiącami osiedleńców, Dżuma zmiecie w przeciągu kilku sekund. Nazwę, daną anomalii przez Minzjaua, można uważać za czułośćkę. Średniowieczna zaraza zlitowała się nad połową Europejczyków, zaś ta Dżuma, nie zostawi po sobie nawet najmniejszej aluzji na obecność fortu. Wszystko zetrze na szary kurz.

Kiedy Minzjau uświadomił sobie następstwa huraganu dla kolonii, natychmiast przyleciał na skraj ekumeny. Ale kierownictwo zakładów przetwarzających piasek nie uwierzyło nieproszonemu naukowcowi. Poniesiono duże nakłady na opanowanie szarej planety z jej nanopiaskowymi złożami i sama żyła była zbyt zasobna, by przy pierwszym krzyku panicznie uciekać z miejsca zagospodarowanego z takim trudem. Ale i zlekceważyć proroctwa profesora, kolonizatorzy nie mogli - bali się o swoje skóry. Dlatego wysłali nas, by sprawdzić hipotezy panikarza.

Przedzierając się przez piaszczystą burzę, w duchu żałowałem, że zasiliłem szeregi badaczy pustyni. Wraz z moim partnerem, Paszką – jesteśmy meteorologami, geologami i diabeł wie kim jeszcze dla tych martwych terytoriów. Jak i dla większości kolonistów, proroctwa Minzjaua wydawały mi się knowaniami konkurentów: porzućcie zakłady, nie nadzorujcie ochronnej kopuły - i zasypie kolonię, jak naszego łązika, że nawet okiem nie zdążymy mrugnąć. Uczony opisał wyjątkowo unikalną anomalię. Ale łebski Pasza, po nieprzespanej nocy spędzonej nad obliczeniami profesora, uwierzył. To on postanowił nadłożyć dodatkowe osiem kilometrów i obmacać echosondami to, do czego, w tak gęstej zamieci, nie był zdolny satelita z kosmosu. Teraz już wiedzieliśmy, że Dżuma nie jest wymysłem profesora. I ona się zbliżała: na ewakuację dwutysięcznej kolonii zostały nam nie dwa tygodnie, jak zakładał Minzjau, a tylko parę dób. Ale, żeby uprzedzić kolonistów, trzeba jeszcze przedeptać pięć kilometrów w burzy; bez samochodu terenowego, mając nadzieję tylko na wytrzymałość naszych skafandrów i miłosierdzie Stwórcy.

- Jeszcze trzy kilometry - stwierdził partner. Przestraszyłem się, że nasz nawigator zawodzi, ale Paszka wyjaśnił: - Przy takiej widoczności, „raketkę” zauważą dopiero z odległości dwóch-trzech kilometrów. Nie możemy ryzykować tysięcy istnień. Żeby być pewnym, musimy podejść do fortu jak najbliżej.

Poza kopułą, z powodu dziwnej właściwości tutejszej magnetosfery, radiosygnal zanikał, jakby pochłaniały go ziarenka piasku, dlatego satelita nadawał tylko przy dobrej pogodzie. Dobrze, że chociaż na radiokomunikację z partnerem wystarczało eteru. W przypadku niebezpieczeństwa, takiego, jakie groziło nam, przewidywano sygnały raketowe: czerwony - ewakuacja, zielony - zakończenie. Po trajektorii lotu „raketki”, grupa ratownicza powinna nas namierzyć i wyciągnąć z szarego piekła. Jeśli ratownicy nie pojawią się niczym aniołowie z niebios, to tlenu, na powrót piechotę, może nam nie wystarczyć.

- Nie panikuj, Saniek, nie zostaniesz tu! - uspokajał Pasza. Widocznie, durnie mają zbieżne myśli: - Wypuścimy „raketkę” i nas zgarną!

Bez wsparcia partnera, chyba bym zbzikował ze strachu. Prawie modląc się do nawigacji, szedłem pierwszy, a idący za mną Pasza wspierał mnie dowcipami z brodą i nieprzyzwoitymi docinkami na temat mojego doświadczenia. Tylko jeden raz, w słuchawkach hełmu urwał się jego wesoły głos. Burza, zbiwszy Paszkę z nóg, rzuciła się na jego skafander, próbując pochłonąć kolejną ofiarę. Ale my, przez cały okres nauki przygotowywaliśmy się do podobnych sytuacji: bez zbytecznej krzątaniny, pomogłem podnieść się partnerowi i kontynuowaliśmy podróż do fortu.

Kiedy nawigator ucieszył nas sygnałem o dwukilometrowym dystansie do kolonii, można było nawet odróżnić zarysy kopuły, nad którą pastwiły się miliony ziarenek piasku. Jeszcze niegroźne, ale tylko do przyjscia Dżumy.

- Dzięki niech będą Stwórcy! - ucieszyłem się. Wyprawa na pustynię, to jak wyjście w otwarty kosmos - wszystko rozpracowane w szczegółach. Ciężar ekwipunku, wśród członków ekspedycji rozdysponowany co do grama: ja mam zieloną raketę, Pasza - czerwoną. - Wyjmuj „raketkę”!

Pasza poklepał się po pasie, z przerażeniem uświadamiając to, co ja już także zauważyłem: jego raketnicę pożarła pustynia. Wracać po „raketkę” - zadanie bezużyteczne, a biorąc pod uwagę resztkę powietrza, w ogóle samobójcze.

- Wystrzelimy moją raketę, a kiedy nas uratują, to opowiemy o zagrożeniu - szukałem gorączkowo wyjścia.

- Sasza, odpowiedz uczciwie: Jesteś debilem?! – dobrze, że chociaż nie widziałem oczu Paszy przez lustrzaną przyłbicę skafandra. - Mniej niż pięćdziesiąt godzin na ewakuację dwutysięcznej kolonii na peryferiach ekumeny! Tu każda godzina się liczy! A jeśli kolonizatorzy zobaczą zielony kolor, to natychmiast uznają rozpoznanie za zakończone: zameldują na Ziemię, że Minzjau jest wariatem, rozwiążą brygady awaryjne, rozpoczną sabantuj... Ludzie na granicy wyczerpania nerwowego: nie chcą utracić pracy i życia żal, a zielona rakietka jest świetnym powodem do świętowania!

- A co z nami? - już nie miałem złudzeń z powodu resztek tlenu.

- Sasza, czy ty jesteś dzieckiem? - demonstracyjnie postukał się po hełmie. - A jeśli, w takiej zadymce, oni nas nie znajdują? Spóźnią się o parę minut? Chcesz, byśmy zginęli sami i pociągnęli za sobą dwa tysiące dusz?!

- A co proponujesz?! - bez paniki, tylko bez paniki.

Odwrociwszy się do mnie plecami, rozkazał:

- Odepinaj lewą butlę, tam więcej mieszanki powietrznej. - Widząc moje niezadowolenie, ponaglił: - Nie ociągaj się! Na dwóch nie wystarczy, obaj zostaniemy w pustyni. Nie liczę na ratowników, dlatego nie spierajmy się. Nie ma na to czasu!

Niczym zahipnotyzowany jego słowami, zdjąłem z partnera butlę i pokornie podstawilem plecy, żeby umocował ją na mnie.

- Dlaczego ja, a nie ty? - potrzebuję usprawiedliwienia nieuniknionej zagłady przyjaciela. – Przecież ty masz syna?!

- Zgubiłem rakietę, to i zostać tu, mój obowiązek - uspokajał - tym bardziej, że w odróżnieniu od ciebie-egoisty, dzieci już spłodziłem. A do tego, jesteś młodszy, nogi sprawniejsze - większa szansa, że dojdiesz. Trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy, bo nie możemy ryzykować życiem kolonistów!

- Ale, co z tobą? - prawdopodobnie, było to najgłupsze pytanie w moim życiu.

- Na kilka minut medytacji, powietrza mi wystarczy.

Na pożegnanie nie starczyło sił, ani jemu, ani mnie. Bojąc się widoku, jak siedzącego paszkę pokrywają ziarenka piasku, przekształcając go w kolejny barchan, wbiłem wzrok w zielonkawy ekran nawigatora. Po drodze do fortu będzie ważny każdy przebyty metr, każda sekunda, każdy wdech. Nie miałem prawa zablądzić.

Ale wszystko jedno pomyliłem drogę. Przez kurtynę burzy już nie odróżniałem zarysów kopuły. Nawigator wskazywał jeden kierunek, a wewnętrzny głos podpowiadał drugi. Wątpiłem w wybór drogi, zatrzymałem się, traciłem czas i powietrze. Zaczynała się panika. Wkrótce, zacząłbym się bezmyślnie miotać, póki nie przekształciłbym się w taki sam barchan, jak i Pasza. I oto, nagle, zamajaczyły zarysy.

Poprzez burzę, zbliżał się do mnie cień podobny do postaci człowieka. My, badacze pustyni, także mamy swoje legendy. Na przykład, o piaskowym człowieku, dzinie, spełniającym najgorętsze pragnienie - ujść z życiem z pustyni. W takie brednie nie wierzyłem, póki sam nie spotkałem tworu z zaświatów. Piaskowych ludzi uważano za dobre duchy, najczęściej były to dusze poległych badaczy, dlatego nic dziwnego, że w legendach pomagali oni błędzającym podróżnikom. Ale, jako człowiek wykształcony, tłumaczyłem te opowieści wybujałą ze strachu wyobraźnią, a cudowne odnajdywanie drogi - intuicją i pragnieniem przeżycia.

Prawdopodobnie, żeby realnie uwierzyć w zjawy, trzeba zobaczyć przynajmniej jedną. Kiedy przed mną ukazał się Pasza, opadły mnie wątpliwości, co do własnego zdrowia psychicznego. Ale zjawia partnera przejawiała materialność, obróciwszy regulator tlenu na moim skafandrze z reżimu ekonomicznego, na bardziej szczodry.

- Nie łam się - zabrzmiał w hełmie głos Paszki - źle obliczyłem zapasy powietrza, ale, jak widzisz, wszystko w porządku.

Ostłupiały z przerażenia, łykałem drogocenny gaz pełną piersią i patrzyłem na pojedynczą butlę idącego z przodu partnera.

- Potrzebujesz szczególnego zaproszenia?! - odwrócił się. - Przełącz powietrze na reżim ekonomiczny i pośpiesz się! Dobrze wiedziałem, że beze mnie raczej nie dojdiesz!

Przełamując strach, wlokłem się za zjawą. Od samej myśli, że rozmawiam z nim, robiło mi się nieswojo, ale Pasza nie nalegał. Skąd można wiedzieć, co czuje człowiek, który wrócił ze świata pozagrobowego? Milczy i chwala mu za to.

Zapas powietrza zbliżył się do zera, kiedy Pasza wyprowadził mnie na jedno z wejść do fortu. Partner czekał przy drzwiach, nie śpiesząc się z wejściem pod bezpieczną kopułę.

- Dalej idź sam - zdawało mi się, że pod przyłbicą przewodnika przemknął uśmiech,  
- magnetyczny klucz zgubił razem z raketnicą.

- Wejdziemy przy pomocy mojego! – mimo wszystko, miałem jeszcze nadzieję, że to nie wywołana niedoborem tlenu halucynacja, a cudem ocalony przyjaciel.

- Przekaż Lidce, że ją kocham.

Nie rozumiem, jak zdołał zdjąć z szyi żeton, ale ten leżał na rękawiczce jego skafandra: - Oddasz Tosiowi, niech się szczyści ojcem.

Chwyciwszy żeton, rzuciłem się do najdroższych drzwi. Na sentymenty, brakło powietrza. Kiedy wpadłem do fortu, pędziła już do mnie brygada medyków, którzy przez kamery obserwacyjne zauważyli moje przybycie...

W ewakuacyjnym statku, siedząc jako bohater-wybawca obok profesora Minzjaua, dużo myślałem o piaskowym człowieku. Spotkanie z nim, można było spisać na głód tlenowy i stres z powodu utraty przyjaciela. To, że przewodnik okazał się halucynacją, potwierdziło video z kamer obserwacyjnych i zapis dialogów radiowych z hełmu. Ale wyjaśnić fakt leżącego w kieszeni żetonu poległego partnera, nie udało mi się.

*Przekład: Tadeusz Rubnikowicz*